

Joanna
Papuzińska

ZBUNTOWANE
SŁOWA





*Z okazji trzydziestej rocznicy wygranych wyborów
4 czerwca 1989 roku
wszystkim nam składam serdeczne gratulacje*

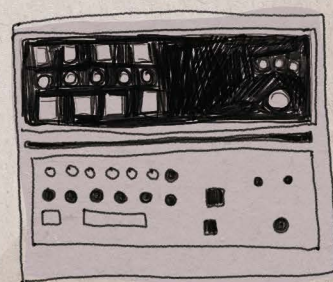
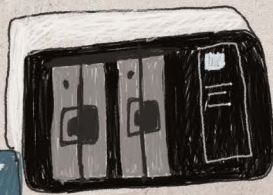
Joanna Papuzińska

Książeczki z makaronu

Ten stary fotel, który stoi sobie w kącie pokoju, to tak naprawdę jest wehikuł czasu.

To nic, że jest zniszczony i obdrapany, bo nasz kot sobie na nim ostrzył pazury. Ale mimo obdrapania, fotel jest bardzo przytulny i wygodny i można na nim odjechać w dawne czasy. Tylko jeszcze trzeba mieć odpowiednie urządzenie, a tym urządzeniem jest, oczywiście, książka. Najlepiej jakaś obszarpana starość, z oślimi uszami i sfatygowanym grzbietem, żeby było widać, że dużo osób ją kiedyś otwierało i czytało, bo to znaczy, że musi być ciekawa.

Ale to nie jest niezbędne, bo tym urządzeniem, które przenosi w czasie, są same słowa i litery, ich sens. Tylko jasne, że trzeba umieć się NAPRAWDĘ przenosić, a nie tak na pół gwizdka, czyli na pół głowy, a drugą jej połową tkwić w czasach dzisiejszych! Jeśli, na przykład, ktoś czyta sobie, że zbłądził w dzikiej puszczy za czasów Mieszka I, a drugą połową głowy myśli: „Mam przecież w kieszeni komórkę, dryndnę sobie do taty i on mnie zaraz znajdzie”, to z całej wędrówki w czasie wyjdzie mu rzewna lipa...



Więc żeby dobrze się przenieść do tych czasów, o których będę mówić, trzeba wiedzieć, co wtedy było, a czego nie było (więcej nie było, niż było).

Nie było właśnie telefonów komórkowych ani internetu, ani dronów, ani innych cudów techniki. Komputery były jeszcze w wieku niemowlęcym, ale w przeciwieństwie do niemowląt, które są małe i dopiero potem rosną – były wielkie jak dwie szafy (co najmniej) i dopiero potem się zmniejszyły.

Jest jeszcze jedna rzecz, której wtedy nie było, choć mała, ale ważna. Nie było korony na głowie orła białego, naszego polskiego herbu. Tkwił sobie na herbie z gołą głową. Może się здаwać, że to nie takie znowu istotne – mała korona na herbie – ale jak się pomyśli dogłębnie, to jest istotne i to nawet bardzo.

O wszystkich tych rzeczach trzeba najpierw cokolwiek wiedzieć, zanim się usiądzie w obdrapanym fotelu i wyruszy w podróż do przeszłości.

Ale skoro już wiemy, to siadajmy – i naprzód!

A raczej, przepraszam, chciałam powiedzieć – w tył!

Naszym przewodnikiem będzie pewien chłopiec, który żył w tamtych czasach.

Na początku, jak zaczął rządzić w Polsce generał Jaruzelski, to mi się nawet podobał, ale to dlatego, że jeszcze byłem mały i nie rozumiałem w ogóle, o co chodzi. I nie to, że mi się sam Jaruzelski podobał, tylko

jego nazwisko. Uważałem, że jest fajne: „Jaruzelski – Karuzelski” – powtarzałem sobie i brzmiało to dość wesoło, no bo kto nie lubi karuzeli?

Ale potem generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny, mnóstwo ludzi pozamykał do więzień, a tym, których nie pozamykał, pozabraniał wszystkiego, co tylko przyszło mu do głowy.

Wtedy siedziałem w domu i rysowałem w zeszyte komiksy o kosmitach, którzy przychodzą Polsce z pomocą.

Bo mogliśmy rzeczywiście liczyć tylko na pomoc z kosmosu, wystarczyło spojrzeć na mapę, żeby zobaczyć, jak niesprawiedliwie świat jest podzielony. Koło naszej Polski, niezbyt małej przecież, ale i nie takiej bardzo dużej, rozwałała się na mapie przeogromna Rosja. Wtedy nazywała się ona Związkiem Radzieckim, ale to była nazwa tylko dla szkoły i telewizji, a w domu mówiło się oczywiście Rosja i Ruskie.

– Oj, tylko tu nie rozrabiajcie, bo przyjdą Ruskie i dopiero dadzą nam popalić! – mówiły nasze babcie.

– Jakie przyjdą, jakie przyjdą! Przecież oni już tu siedzą! Pełno w Polsce ruskiego wojska! – dodawali złowieszczo niektórzy dziadkowie.

Tak było naprawdę, bo w wielu polskich miastach przebywały całe radzieckie armie i pilnowały, żeby u nas był spokój.

Więc główną nadzieją była dla nas pomoc tych kosmitów z *Gwiezdných wojen*, bo prawie wszyscy te filmy oglądali w kinie.





Jednak oni mieli swoje kłopoty i nie kwapili się za bardzo nam pomagać. Ale za to prawdziwi ludzie, z przeróżnych krajów, byli oburzeni na Jaruzelskiego za jego wyczyny. No i tak jak mogli i potrafili, starali się nam pomóc, i na nasz kraj sypnęła się cała fala paczek: z żywnością, lekarstwami, odzieżą i wszelkim innym dobrem. Było to ogromnie pokrzepiające, bo w polskich sklepach wciąż brakowało towarów, i to przeważnie tych, które akurat chciało się kupić.

Oczywiście ci, którzy mieli przyjaciół albo krewnych za granicą, dostawali paczki od nich i nie było w tym nic niezwykłego, takie rodzinne paczki przychodziły do Polski od lat, a może nawet i teraz przychodzą, choć dziś można w sklepie sobie wszystko kupić (byle tylko mieć za co).

Ale tu było coś innego, bo wielu nieznanym ludzi z Niemiec, Danii czy innych krajów zza żelaznej kurtyny, bo tak się to wtedy nazywało, po prostu chciało nam pomóc i zdobywali adresy w Polsce, a potem robili zakupy, pakowali paczki i wysyłali je do nas. Więc można było dostać taką paczkę nawet od zupełnie obcej osoby.

Każdego dnia w klasie ktoś się przechwalał, pokazując gumę do żucia albo wypinając pupę w nowych dżinsach, albo odsłaniając poję szkolnej bluzy i pyszniąc się jakimś nowym zagranicznym swetrem czy koszulą.

– To z paczki! – chlubił się ten ktoś. – Od wujka z RFN-u. Od cioci z Paryża. – I tak dalej. Według całej mapy świata.